

o Polaków rozbijają się kolejne imperia. Jak – wymyślony przez Kadłubka – Lestko (Leszek) I pokonuje „chciwość” Macedonczyka, tak rządy Wandy, córki Krakusa, prowadzą do zwycięstwa nad „tyranem niemieckim”, a Leszek III kładzie granice panowaniu samego Cezara. Mistrz Wincenty szukał swoistego sensu opowiadanej przez siebie historii Polaków w konsekwentnej obronie nie tylko suwerenności zewnętrznej – między imperiami, ale i wolności obywateli (czyli rycerskiej elity) od samowoli własnego władcy. Wzór dał w osobie pierwszego legendarnego władcy: Kraka-Grakcha. Wybrać miał go więc wolnych Polaków po złożeniu przez kandydata do tronu obietnicy, że „nie królem będzie, lecz współnikiem królestwa”. Kadłubek dał też wyjątkową definicję sprawiedliwości, nie spotykana w tym brzmieniu u innych autorów starożytnych czy średniowiecznych, od których zapożyczał wiele innych swych mądrości. Napisał, że odtąd – czyli od ustanowienia ustroju opartego na prawie i wolności – „sprawiedliwości nazwano to, co sprzyja najbardziej temu, co może najmniej” (*et dicta est iustitia quae plurimum prodest ei qui minimum potest*). Sprawiedliwość ma chronić najsłabszych.

Palikot kruszy filary

Czy chroni w historii Polski, jaką znamy z kolejnych ośmiu wieków? Nie chroniła już i w tym czasie, który ogarniała kronika Kadłubkowa i łamanie tej pięknej zasady przez swoich przodków i niektórych współczesnych mistrz Wincenty sam na wielu przykładach piętnował. Komponując swą opowieść, w której „prawdziwe ojców wizerunki” chciał wydobyc z „głębi zapomnienia”, szukał prawdy o przeszłości, walczył z zapomnieniem ludzi, którzy byli, ale zarazem świadomie chciał odsłonić „złote ojczyzny filary”. Owe „filary” – to wzory czynów, w których sens polskiej wielopokoleniowej wspólnoty mieli odkrywać czytelnicy jego „Kroniki”: wolny lud Lechitów-Polaków. To był właśnie ów ideał sprawiedliwości sprzyjającej najsłabszym, ustrojowej wolności i antyimperialnej dzielności w obronie tejże wolności.

Czy jeszcze widzimy te filary? Czy jeszcze chcemy je podtrzymywać, odnawiać, umacniać, może dodać nowe, równie godne? To są pytania o polskie dziedzictwo. Imamy radykalną odpowiedź na te pytania: „Przyszłemu czas, by powiedział Polakom, że muszą się wyrzec swojej polskości”. Tak w lutym 2012 roku stwierdził lider trzeciego co do wielkości klubu w polskim Sejmie. Miało to miejsce na spotkaniu konwersatorium „Dialog i przyszość” zorganizowanym przez Aleksandra Kwaśniewskiego. To była wypowiedź godna lidera Ruchu Poparcia Putina, mocniejsza od kilka lat wcześniejszego stwierdzenia na łamach „Gazety Wyborczej” zrównującego patriotyzm z rasizmem. Wezwanie do tego, by Polacy wyrzekli się swej polskości – a zatem wyrzekli się już nie tylko postawy patriotyzmu, ale by zrezygnowali z samej ojczyzny – to wezwanie odpowiada mentalności dużej części ludzi, którzy znajdują się w centrum tego kraju. Nie Polski, ale właśnie „tego kraju”. Co ważniejsze jeszcze, lata, całe dekady ciężkiej pracy tych ludzi, by nie cofać się głębiej – od czasu „Nowych Widnokręgów” do najnowszego wydania programów „rozrywkowych” TVN – przynoszą doniosły skutek społeczny: setki tysięcy młodych ludzi w tym kra-

ju jest całkowicie obojętnych na dziedzictwo, które tworzy ojczyznę nazywaną się tak niewygodnie: Polska. W ostatnich „Arcanach” drukujemy rozmowy z przedstawicielami tej wielkiej grupy. Na pytanie, czy widzą sens trwania tego dziedzictwa, udzielają oni np. takiej odpowiedzi: „Gdybyśmy byli Niemcami, Austriakami czy Rosjanami – pod warunkiem że na równych prawach z obywatelami tych krajów – świetnie prosperującymi, zadowolonymi, żyjącymi szczęśliwie – to czy to byłoby takie złe? Czy przodkowie, co krew przelewali, woleliby nas widzieć nieszczęśliwymi Polakami czy szczęśliwymi obywatelami innych krajów?”

Szczęście jest gdzie indziej. A raczej może być i tutaj, jeśli tutaj to już nie będzie ta Polska, którą tak precyzyjnie opisał Donald Tusk przed laty na łamach miesięcznika „Znak”: „Pustka, tylko gdzieś w oddali przetaczają się husarie i ulani, powstańcy i marszałkowie, mającą Dzikie Pola i Jasną Górę. Dziejowe misje, polskie miesiące. (...) Co pozostanie z polskości, gdy odejmiemy od niej cały ten wzniosło-ponuromśmieszny teatr niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń?”

No właśnie: co pozostanie? Normalność bez polskości, bez ojczyzny, bez



■ **Marian Langiewicz**, dyktator Powstania Styczniowego: nasza „domowa pamięć” sięga tamtych czasów

■ Czy mamy zaakceptować podsuwany nam podział na „jasnogród” i „ciemnogród”? **Czy podzielimy Wawel niczym Wzgórze Świątynne w Jerozolimie?**



zobowiązań, bez dziedzictwa, może nawet bez dzieci także (to pan premier podkreślił zresztą kilkakrotnie, odmawiając najmniejszego gestu na rzecz polityki prorodzinnej), dla których warto byłoby coś poświęcić ze swojego indywidualnego szczęścia. To jest normalność dla wielu milionów tych, z którymi łączy nas terytorium, a także jakieś ułamki języka, pozwalające na zakupy w tych samych sklepach.

Wawel do podziału?

Porozumienia? Do czego zobowiązuje nas to, co otrzymaliśmy po naszych ojcach? Pamiętajmy: oni – to nie tylko wnuki oprawców z NKWD czy konfidentów z gestapo – tych nie ma tak dużo (a i tacy, bywało, przyjmowali szczerze polskości, przyciągnęli imponującą wielkością „filarów”). Owi „oni” to także prawniki tych, którzy byli w AK czy w BCh, bili się w kampanii wrzesniowej – po polskiej stronie. To potomkowie tych, którzy w XIX wieku, albo w II RP, albo w czasie II wojny – z „tutejszych”, z „przybyszów” – stali się Polakami. Ale już po 23 latach III niepodległości wybili się na niepodległość – od krzyża, od Smoleńska, od Polski.

Zatem: machnąć na nich ręką? Takie rozwiązanie narzuca się coraz częściej ostatnio: „No, nie porozumiemy się

z nimi, kompromis nie jest możliwy, będzie w końcu zdradą ojczyzny i tych, co za nią ginęli”. Więc może ostatecznie zaakceptować podsuwany nam od 200 lat podział na jasnogród i ciemnogród? Dać się zamknąć w rezerwacie, gdzie będziemy kultywować nasze dziedzictwo, czytać sobie Galla, Kadłubka, Mickiewicza, dopóki okulary nie wypadną nam z wykręconej reumatyzmem ręki?

Ale gdzie mieliśmy się zamknąć? Jak podzielić terytorium, które otrzymaliśmy po ojcach? Czy wystarczy nam Radom – jedyne większe miasto, w którym ostatni demokratyczny werdykt dał większość dziedzicom dumnych Lechitów? Czy dostaniemy Wawel – skoro nas tylko historia obchodzi? Już po 10 kwietnia 2010 roku wiemy, że tak łatwo nie będzie. Ci, którym serce na dźwięk dzwonu Zygmunt raczej wcześniej nie drżało, nagle zapragnęli walczyć o Wawel, o Krakowskie Przedmieście. Czy da się Wawel podzielić – jak Wzgórze Świątynne w Jerozolimie: część dla „wyznawców Ojczyzny”, część dla tych, którzy z polskością są gotowi się rozstać, ale chcą po swojemu zagospodarować symbole po niej (może zorać, może zrobić emballage)?

Nie, to nie jest dobra perspektywa. Musimy wybrać inne rozwiązanie – do niego właśnie zobowiązujemy nas dziedzictwo. Musimy podjąć na nowo uporczywą pracę nad przywróceniem polskości tych, którzy przed telewizorami TVN i nowej TVP, przed okienkami laptopów z Onetem

czy Interią stali się „tutejszymi” albo raczej – „turytami”.

Nie będzie łatwo. To wiemy. Nie tylko dlatego, że dokładnie w przeciwnym kierunku pracują potężne korporacje medialne i niektórzy „politycy”. Oni są tylko sługami procesów znacznie potężniejszych. Współczesne rynki podważają sens istnienia autonomicznych wspólnot politycznych. Rynki potrzebują tylko ciągle zmieniających się obrazów użyteczności i wychodzenia z użycia. Doskonale wspiera tę potrzebę ideologia postmodernizmu, w której nie ma rzeczywistości: wszystko redukowane jest do języka (a raczej PR) i nic nie może się zdarzyć, bo wszystko jest wymyślone (skonstruowane), wszystko jest projektem. Wspomniany w wstępie John Pocock, zauważył, iż „postindustrialna ekonomia globalna wytworzyła wzory/sposoby ludzkiej interakcji, które lekceważą, przekraczają istniejące granice między państwami, narodami i społeczeństwami obywatelskimi wytworzonymi wokół nich. Skutek jest taki, że wielu – coraz więcej – ludzi nie czuje, by żyło w takich wspólnotach, uczestniczyło w polityce, czy należało do ich przekazywanych czy też dziedziczonych kultur. Wzory, wedle których żyją ludzie, stają się płynne do tego stopnia, iż stają się obrazkami w masowej wyobraźni, natychmiast przekazywanymi i natychmiast zastępowalnymi. W tych warunkach trudno w ogóle mieć historię czy żyć we wspólnocie (państwie, narodzie), którego historia jest zapisem ciągłości” („Discovery of

Islands”, Cambridge 2005, s. 303). Przetwarzają tylko te, które mają najsilniejszą tożsamość i największą wolę jej obrony. Bronią się Niemcy, broni się Rosja, broni Izrael, bronią Stany Zjednoczone, bronią Czechy, Chiny, Węgry, broni się Anglia...

Reconquista

Polska się nie obroni, jeśli zrezygnujemy z obrony wspólnej ojczyzny, z obowiązku jej poszerzania na tych, którzy utracili poczucie dziedzictwa albo jeszcze go nie poznali. Jak tę obronę prowadzić? – odpowiedź na to pytanie można już określić jako domenę różnych projektów.

Polska nie jest projektem, ale znamy z historii projekty jej likwidacji. Przez imperia, którym ona przeszkadza. A także przez tych, którym wydały się niezwykłe owe imperia – uzbrojone w pulki preobrażeń albo w hasło ostatecznego wyzwolenia i wielkie telewizje. Ci ze strachu, czasem z obawy przed śmiesznością, obciachem wierzgania przeciw ościeniowi „postępu”, a najczęściej w imię indywidualnego interesu – wybierają silniejszego. I chcą zachować z jego nadania splendory panowania nad „tutejszymi”. Oni muszą rozbijać obraz wspólnoty, ośmieszać ideał wolnych Lechitów.

Znamy jednak z historii również tworzone i realizowane – w X, XI, XII, XIII..., XIX i XX wieku – projekty, a raczej po prostu systematyczne prace nad odnawianiem i poszerzaniem tej wspólnoty. I to właśnie musimy robić: pracować nad tym, żeby Polaków było więcej, a nie mniej; żeby odnawiać ciągłość tej historii, którą opowiadają od początku Gall i Kadłubek. To jest praca organiczna, która trwa od blisko 40 pokoleń. Nie skończy się, dopóki z niej nie zrezygnujemy.

Na czym dziś ta praca polega? Nad tym właśnie zastanawiają się współtwórcy konferencji „Polska Wielki Projekt”, nad tym zastanawiają się, ale też i pracują codziennie tysiące innych Polaków: rodziców, nauczycieli, lekarzy, rolników, uczciwych urzędników, biznesmenów, naukowców, studentów...

By bronić naszego domu – trzeba odzyskać państwo. By bronić naszej kultury – trzeba tworzyć porywające dzieła i umieć dotrzeć z nimi – pod zaciągniętym dymem „ponowoczesności” czaszki. By takie dzieła powstawały – Polska znów stać się musi wielką ideą, najambitniejszym zadaniem, najważniejszym sporem, jak była w czasach Kadłubka i Kochanowskiego, Mickiewicza i Chopina, Malczewskiego i Wyspiańskiego, a nawet jeszcze Herberta i Miłosza. By taką ideą była – musimy odbudować poczucie dziedziczenia. Od własnej rodziny, własnego domu, własnej genealogii poczynając – w nich szukając punktów stykowych z polską historią. Wtedy tę historię, wspólną – odbudujemy na nowo. Jeśli zechcemy. ■



Tekst ogłoszony w ramach 2 konferencji „Polska Wielki Projekt”, 12 maja 2012 w Warszawie

Autor jest historykiem i publicystą, wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Arcana”. Ostatnio opublikował m.in. „Od Polski do postpolityki: intelektualna historia zapasów Rzeczypospolitej” (2010).